Nr. 1. We Lwowie dnia 6. stycznia 1901. Rok 9.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłou[illegible]a.

PIEŚŃ

u bram nowego wieku.

Otwórzcie się zawierze! Pęknijcie wrzeciąże!
Bo oto idzie zastęp harny
Zwycięzkich bojowników...

Czoła ich znojne, ściekające potem,
Odkryte na wiatr,
Są, jako wieże, które, zda się, runą —
Są, jako wierzchy ponadchmurne Tatr,
Gdy je wschodzące słońce skrwawi złotem
I oświeci podniebną zórz rozkwitłych łuną.

Idą poszumem, jak rozchwiane smreki,
A cienie od nich, niby cienie skał,
Kładą się w długie po ziemi straszydła,
Padają smugą na poległe wieki.
Zbroje nie kryją ich skrwawionych ciał —
Ale ich dusze, zapałami zbrojne,
Mają u ramion łyskające skrzydła,
Zda się: usarski zastęp z mogił [illegible]stał
I powietrzną z duchami rozpoczy[illegible] wojne.

Idą poszumem, a myśli ich młode,
Jak orły, zrywające się do lotu z gniazd
Na przeczuwaną wiosnę i pogodę,
Strzałami chmurne przebijają sieci,
Nie mierząc sił, lecz drogę, jaką ptak doleci,
Do słońc, do światów, do gwiazd!

Idą, a serca ich ogniami gorą,
Hartując dusze na okrutny ból,
Aby się śmierci żelazem oparły;
Bowiem, kto z sobą więzie duszę chorą,
Nieżałowany ostaje wśród pól
I jest drużynie jakoby umarły.

Zwycięstwem idą, a oczy ich biegną
Za bramy wieku, wyprzedzając chód —
I nie odpoczną, ani się nie zegną,
Ani ich żadna nie zatrzyma moc,

Póki ich złoty[illegible]ie spromieni wschód,
Póki nie zejd[illegible] wieczna noc
Z błękitu,
Póki, w młodzieńczy[illegible] białych snach widziana,
Nie wyjdzie oczom z[illegible]oza granic świtu
Jasna polana...

*

Otwórzcie się z[illegible]wierze! Opadnijcie bramy!
Bo [illegible]
Podobna zwia[illegible]
Idzie, jak płomień [illegible] lesie,
I gna, jak błyskawica —
Stepowy rumak powicher ją niesie.
Z ogni czerwonych j[illegible]j lica,
Z płomieni wężowych włosy,
A ocz[illegible] piorunami ciskają dokoła,
Biją w wieże, wlatują do otwartych sieni...
Wnet ciche pobudzi sioła,
Zapali ziemię, niebiosy,
Cały świat w okrąg spłomieni!

Słyszycie? grzmi...
Póki czas, zamknijcie drzwi!
Zawieście krzyż na bramie —
A kogo podły strach nie złamie,
Niech stanie sam
Na straży...
Ale na świecie niema bram,
Których pieśń skrzydłem nie wyważy —
I krzyża się nie lęka;
Bowiem zrodzona z wiecznej męki,
Z ducha ludzkiego na Golgocie,
Który pod krzyżem swoim stęka
I dźwiga trumnę swoją w pocie,
Przejęła głośne jego jęki
I nad grzmot wszelki wołania wytęża,
Przez moc, przez zolbrzymiały krzyk bolu zwycięża!
Godny posłuchu Boga napowietrzny chor.
Kiedy się ziemia rozjęczy zbolała,

Kiedy żałobny rozszumi się bór —
Orkiestra cała...

Oto płyną smutki ciche i płaczą,
Oto idą nędze z skargą żebraczą,
A za niemi obłąkane niedole
Snują się, jak samotnice, przez pole.
A wszystkie na wschód tęskne obracają oczy...
Na strunach wiatru płacz wieczny zawodzi,
To cichnie, to wybucha —
Ból za nim, wielki w martwocie swej, chodzi,
Przystaje, patrzy, słucha...
Nie widzi nic wokoło i nic wokoło nie słyszy.
Przestronność głucha.
Czas, idąc w górę po stromej uboczy,
Jak schorzały człek wiekiem obumarłym, dyszy..,
A z dołu wicher dmie —
Na wichrze Rozpacz usiadła i pędzi
I włosy rozczochrane rwie
I gna —
Stanęła z wichrem u skalnej krawędzi...
Nim runie w przepaść otchłanną bez dna
Na wschód obraca beznadziejne oczy.

Z doliny łez, zrodzona w obłędzie na wietrze,
Pieśń górna wstała...
Płomieniem wichru pędzi przez powietrze —
Łachmany już nie kryją jej boskiego ciała,
I nie zawodzi, nie płacze, nie jęczy,
Nie gra żałosnych dum na lutni —
Ale w surm bojowy dźwięczy:
Powstańcie smutni!...

Przeszła przez ogień męki, naga,
Przez hartujące ducha znicze,
I w dłoniach jej wzniesionych stygmaty, jak bicze,
Którymi smaga.

Na głos jej wszystko, co żywe, powstanie,
A co zbutwiałe, rozsypie się w gruz!
Bo taka pieśń, to nie baśń, nie miłosne granie,
Ani śpiew słodki rozbawionych muz —
Ale grzmot straszny walących się lasów,
Pomruk ziem, burza rozwichrzonych czasów,
Przemocne ducha z piekieł zmartwychwstanie!

Na dźwięk grających jej rogów
Ludzie poczują na ramionach pióra
I staną się z serc swoich podobni do bogów,
Wywyższy się dolina, poniży się góra,
I kiedy wzejdzie biały świt ludzkości,
Nie jedną krągłej ziemi opromieni stronę —
Na dźwięk grających jej rogów
Miasto wszelakiej nieprawości:
Jerycho, padnie, zburzone.

*

Otwórzcie się zawierze! Otwórzcie się na oścież!
Bo oto idzie lud
Przypływem wzburzonego morza...

I z miast i siół, ze wszystkich ziem,
Pędzony wiecznym głodem,
Za pieśni wstałej wielką mocą,
Za bojowników swych przewodem,
I dniem
I jasną od błyskawic nocą
Pospiesza,
Z okrzykiem światu ginącemu: gorze!
Dochodzi do bram...
Wyrasta nieprzejrzany las — bezmierna rzesza —
Bezbrzeżne, okiem nieobjęte morze,
Któremu góry idące do słońca
Najwyższem czołem nie położą tam.
Zda się, że granic niema, brzegu, ani końca...

Przez długie wieki ciskał czas
Nasiona w ziemię urodzaju,
A wiater siał, roznosił po szerokim świecie.
Ostatni z wieków starych doczekał się przecie
Zagęstwionego gaju,
A syn jego obaczy rozszumiały las...

Przez długie wieki fale wód
Rosły ku niebu niepojętą mocą,
Ale szły cicho, księżycową nocą,
A w dzień padały na spód,
Na dno, pod ciche, uśpione powierzchnie,
Aż nastał długi wiek piorunnych burz.
Fale, zbudzone, zrywają się we dnie,
Księżyc nie budzi ich, lecz błyskawice —
Idą ku niebu... Słońce białe mierzchnie
I kryje się za czarne skrzydła chmur
I blednie
I z poza krwawych zórz
Wychyla przerażone lice.

Żywy, idący bór...
Gdy wicher weń uderzy —
Rozchwieruta, rozchwieje,
Rozdrga w dziki chór,
Jakim wołają knieje —
Gdy to wołanie wokół się rozszerzy:
Biada ginącym, biada!
Słyszcie! Tak ino woła mór,
Tak ino woła zagłada.

Rozchwiane fale mórz...
Gdy burza na nie spadnie,
Gdy sto przyleci burz —
Rozhuczą,
Fale oderwą na dnie,
Wichrem pochwycą za włosy
I porwą w górę, w niebiosy,
Gdzie słońce ściemi się zawieruchą kruczą,
Cały świat powali trwoga
Do stóp wirchami idącego Boga.
Ale ginących nie wybawi cud,
I odjętą im będzie wszelka łaska Boża,
Bo padli, pobici strachem,
Przed czasem.
Nikt nie przeczeka burzy pod zbutwiałym dachem!

A oto idzie lud
Szumiącym lasem,

Idzie przypływem spienionego morza...
I przez wiatry ostrzega: Przeoślepli starzy,
Którzy, leżący w poprzek, tamujecie ruch,
Podnieścież swoje karki, ciała swoje wyprośćcież!
By nie było cmentarzy
U bram nowego wieku,
Bo przejdzie po was śmiercią wojujący Duch.

Porażon prawdą, zginie
Ludowi przeniewierca.
Przeto lud woła ninie:
Duchy swoje wyprośćcież!
Giń u bram życia wszelki upadający człeku!
A serca, żywe serca
Otwórzcie się na oścież!

Władysław Orkan.

Rozwój myśli polskiej w XIX stuleciu.

Pod względem twórczości umysłowej nie byliśmy nigdy dotychczas narodem samodzielnym Nie przesądza to o przyszłości, ale przeszłość i teraźniejszość świadczą o tem bezspornie. Umysł polski, o ile z dotychczasowych jego objawów sądzić można, nie zdaje się być do twórczej pracy naukowej odpowiednio zorganizowanym. Jest lotnym, bystrym, jasnym, nieraz gruntownym, w potrzebie potrafi być ścisłym. Ale obok tych, wszystkich przymiotów cechuje go brak prawdziwego i szczerego zamiłowania do spraw teoretycznych, do czystego poznania prawdy. My naukę cenimy, (o ile ją wogóle cenimy), nie jako coś, co samo przez się i samo dla siebie najwyższą posiada wartość, lecz ze względu na jej użyteczność społeczną. Traktujemy ją ze stanowiska obywatelskiego. Polak, któregoby oderwane kwestje teorytyczne były w stanie entuzjazmować, rzadkiem jest zjawiskiem.

Można jednak nie być twórczym w nauce, a stanąć bardzo wysoko pod względem oświaty. Można, korzystając z obcych zdobyczy, czynić z przyswojenia nauki potężną dźwignię postępu społecznego. To właśnie miała na celu instytucja, która w kraju naszym pierwszym chwilom zapadającego dziś w wieczny mrok stulecia przyświecała — Towarzystwo przyjaciół nauk.

Prowadziło ono w dalszym ciągu dzieło Konarskiego, Stanisława Potockiego, Kołłątaja i Komisji edukacyjnej. Prowadziło je w zmienionych warunkach, do których się z męską energją zastosować potrafiło. Z natury swej i z założenia było czemś zupełnie odmiennem od akademji nauk i innych tego rodzaju stowarzyszeń naukowych. Zakres jego działania był od zakresu akademickiego daleko obszerniejszym. Gdy akademje na celu mają, biorąc rzecz ogólnie, pielęgnowanie istniejącej nauki, Towarzystwo przyjaciół nauk musiało stworzyć dla kraju warunki prawidłowego i pomyślnego życia umysłowego. Stąd akademje mają zwykle charakter do pewnego stopnia zachowawczy, gdy tymczasem Towarzystwo przyjaciół nauk, będące nie stróżem i opiekunem, lecz pjonierem i zdobywcą, miało charakter wybitnie postępowy.

Życie umysłowe wzmaga się i krzepnie. Oświata w krótkim stosunkowo przeciągu czasu zdumiewające czyni postępy. A i w nauce samej pojawia się, oprócz niemałego szeregu studjów poważnych i gruntownych, dzieło istotnie twórcze Jędrzeja Śniadeckiego „Teorja jestestw organicznych“.

Umysł polski postępuje w tym czasie po tej drodze, na którą w połowie wieku XVIII za przewodem Konarskiego był wkroczył. Myśl polska rozwija się w najwłaściwszym jej naturze i najodpowiedniejszym dla niej samej kierunku empirycznym, ulegając w tej mierze wpływowi myśli angielskiej i francuskiej. Twórczość poetycka również wykazuje ścisłą od twórczości francuskiej zależność.

Ale urodzajnym okazał się niebawem grunt przez Towarzystwo przyjaciół nauk przygotowany. Wiadomo, że do „nauk“ zaliczano wtedy i sztuki piękne — wogóle wszystko, co całokształt życia duchowego społeczeństwa stanowi. W uniwersytecie była osobna katedra „wymowy i poezji“. O kulturę estetyczną dbało Towarzystwo nie mniej jak o umysłową. Że zaś kultura często (nie zawsze) jest pożądanym dla rozwoju twórczości warunkiem, i że z drugiej strony były u nas pierwiastki silnej i samodzielnej twórczości estetycznej, więc pierwiastki te bujnie się niebawem rozrosły i wytworzyły romantyzm, a z nim nastał wielki okres naszej poezji.

Romantyzm, acz sam, jako kierunek poetycki, rdzennie narodowy, umysły, dotychczas przeważnie ku Francji skierowane, zwrócił w stronę kultury germańskiej i wpływom germańskim utorował drogę. Że zaś droga ta wiodła przez poezję, i że poezja zaczynała już być potężną, a twórczość teoretyczna była słaba, więc ewolucja umysłowa rozpoczęła się w zależności od ewolucji poetyckiej. Taki był początek, krótkotrwałego na szczęście, panowania nad myślą polską metafizyki niemieckiej.

Twardo postawił się nowemu przybyszowi Jan Śniadecki, jeden z najbardziej typowych przedstawicieli umysłu rdzennie polskiego, z natury swej rozważnego, ostrożnego i mało fantastycznego. Ale sprawa jego musiała być przegraną, naprzód dlatego, że prąd metafizyczny niosła na sobie wielka fala poezji, powtóre zaś dlatego że Śniadecki, zamiast przeciw fałszywej spekulacji niemieckiej okresu pokantowskiego, zwrócił się przeciw samemu Kantowi, którego gruntowny rozbiór najlepiej mógł wykazać (i w następstwie wykazał) czczość i nicość spekulacji metafizycznej, a którego, na domiar złego, Śniadecki nie rozumiał.

Po roku 1831-m nastąpił trzydziestoletni okres produkcji umysłowej bujnej, obfitej, lecz nie zorganizowanej i bezładnej, okres którego rys znamienny stanowi energiczne dążenie ku wytworzeniu „filozofji narodowej“. Elementarna prawda, że filozofja, jak i każda nauka, winna być przedewszyttkiem prawdziwą, a „narodową będzie sama przez się — zupełnie metafizykom polskim nie przychodziła do głowy. Nie dostrzegł jej nawet umysł tak z natury spokojny i rozważny, jak Kremera, ani tak surowy i ścisły jak Libelta, ani tak lotny i śmigły jak Cieszkowskiego. O Trentowskim, którego umysł żadnej z tych zalet nie posiadał, a który był całego zamętu metafizycznego głównym sprawcą, niema co nawet mówić.

Osią metafizyki polskiej była, przeszczepiona na jej suchotnicze drzewko z olbrzymiego drzewa poezji, idea posłannictwa mesjanicznego narodów słowiańskich. Szereg misternych konstrukcji rozumowych służyć miał ku wykazaniu, że naród polski powołany jest do wytworzenia filozofji, będącej pogodzeniem sprzeczności wytworów ducha romańskiego i germańskiego. „(Pogodzenie sprzeczności“, „jedność w rozmaitości“, „synteza tezy z antitezą“ były wtedy takiemi samemi hasłami chwili i wyrazami magicznemi, jakiemi dziś są np. „ruch etyczny“, „indywidualizm“, „naga dusza“, „Ruskin“ itp.). Heglowska metoda djalektyczna, polegająca na operowaniu logicznem dwoma, sprzecznemi z sobą, pojęciami („tezą“ i „antite “) tak długo, dopóki się nie znajdzie trzeci („syntezy“), stanowiącego ich zjednoczenie, była jedynem, zupełnie dla tego rodzaju konstrukcji odpowiedniem, narzędziem i została też przez metafizyków polskich jednomyślnie przyjętą. Na tej podstawie jęli oni konstruować świat i narodowi swemu miejsce w nim i role w jego dziejach wyznaczać.

Metafizyka ma swoje powaby i nie bezzasadnie przyrównywano już wielokrotnie konstrukcję metafizyczną do konstrukcji artystycznej. Dopiero wobec jasnej, chłodnej i ostrej myśli krytycznej, która złudność podstaw i nicość dźwigniętej na nich konstrukcji wykazuje, bledną i nikną fałszywe powaby metafizyki. Ale wtedy milczała krytyka naukowa i me afizyka osiągnęła krótkotrwały tryumf. Wyparowała ona i stłumiła naukę. Wprawdzie detaliczna praca naukowa w zakresie nauk matematycznych, przyrodniczych i filologicznych, nie ustała zupełnie, a pod ludoznawstwo i etnografję w tym właśnie okresie czasu położono podwaliny. Ale ta skromna, lecz płodna, praca naukowa, uprawiana przeważnie przez ludzi miernych zdolności, skromnie tuliła się w małym kąciku życia umysłowego społeczeństwa, podczas gdy cały niemal jego obszar, zagarnęła metafizyka, której siły swoje poświęcili ludzie wybitni i niepospolici. Wpływ swój wywarła ona i na historję, która wnet przedzierzgnęła się w historjografję. Z pomiędzy wybitnych myślicieli tylko Michał Wiszniewski i Lelewel nie ulegli jej urokowi i oni też stanowią niejako ogniwo, łączące okres Towarzystwa przyjaciół nauk z okresem pozytywizmu.

Metafizyka polska źródło swoje i swój punkt oparcia miała w polskiej poezji romantycznej i tylko jej potędze zawdzięczała swój kredyt u społeczeństwa, tylko temu, że zdawała się dążyć do sformułowania i uzasadnienia filozoficznego idei, stanowiących oś i środek ciężkości poezji. Ale właśnie największy nasz poeta, zupełnie filozoficznie nie wykształcony, lecz wiedziony genjalną intuicją i nieomylnem poczuciem głębokiego rozdźwięku pomiędzy metafizyką polską a całokształtem naszej umysłowości, zwrócił się przeciw niej. Mickiewicz w lekcjach literatury słowiańskiej oświadczył wyraźnie, że całą robotę metafizyczną uważa za chybioną.

Trzydziestoletni okres panowania metafizyki nietylko był w dziejach umysłowości polskiej okresem jałowym, lecz wstrzymał i zahamował postęp myśli polskiej. Jedno wszakże sprawiedliwość nakazuje zaznaczyć ku chwale naszych metafizyków. Oto prawość i uczciwość myślenia. Przejęli oni heglowską metodę djalektyczną, ale sofistyki niemieckiej nie przejęli. Pokantowska metafizyka niemiecka dla tego zerwała zupełnie z nauką, że zerwała z rzeczywistością. Przestało jej zupełnie chodzić o objaśnienie rzeczywistości, a chodziło już tylko o konsekwentną, pięknie zbudowaną i „głęboką“ konstrukcję. Tego grzechu nasi metafizycy nie są winni. Przeciwnie, wszystkie ich wysiłki skierowane były ku ujęciu tej rzeczywistości, ku stworzeniu takiego systemu rozumowego, któryby ją pojąć pozwolił. Ku temu celowi wymyślone zostały wszystkie „różnojednie“, „obraźnie“, „wyobraźnie“, „przeobraźnie“, „umy“ itp., ku temu celowi heglowska „idea bezwzględna“. Cała polemika naszych metafizyków przeciw niemieckim, źródło swoje ma w tem energicznem dążeniu do rzeczywistości, dzięki któremu nie zniżyli się oni nigdy do poziomu akrobatyki djalektycznej. To stanowi ich chwałę i to łączy ich z całością polskiego życia duchowego, od którego zresztą pod innymi względami daleko odbiegli.

Założenie warszawskiej akademji medyko-chirurgicznej może być uważane za widomy znak

chwili zwrotnej, od której się reakcja przeciw metafizyce rozpoczęła. Niebawem nastaje otwarcie Szkoły Głównej i okres pozytywizmu. Zwrot ten nie jest jeszcze należycie ocenionym. Pozytywizm u nas, jak to zwykle u nas, pomieszał się i powikłał z rozmaitemi rzeczami, poza obrębem filozofji i wogóle nauki leżącemi: z wolnomyślnością religijną, z liberalizmem ekonomicznym, a nawet z reakcją przeciw romantyzmowi. W gruncie rzeczy jednak jest to tylko reakcja przeciw różnym prądom społecznym, politycznym i estetycznym, z którymi się pozytywizm splątał. U nas zawsze bywa taka plątanina, bo życie ogólne i estetyczne jest silne, a życie teoretyczne słabe i skutkiem tego od tamtych zależne. Na prawdę zaś pozytywizm naukowy nie został, nietylko obalonym, ale nawet zaatakowanym na serjo. Był zaś on w istocie rzeczy powrotem myśli polskiej do siebie. Umysł polski z natury swojej jest pozytywnym. Pod wpływem poezji romantycznej uległ był na czas krótki pokusom metafizyki, lecz niebawem wrócił do swojej natury. Pojawienie się pozytywizmu było wprost nawiązaniem życia umysłowego do chwilowo przerwanej, nici, którą snuli: Konarski, Kołłątaj, obaj Śniadeccy, Czacki, komisja edukacyjna i Towarzystwo przyjaciół nauk. I teraz znowu stoimy na swojej naturalnej drodze. Jak dawniej, tak i teraz główne miejsce w naszem życiu umysłowem zajmuje nie nauka, lecz oświata. Ale już z dwojga złego lepiej, aby twórczości naukowej wcale nie było, niż aby była taką, jaką była w okresie panowania metafizyki. Do normalnego i zdrowego rozwoju społeczeństwa niezbędną jest nie nauka, lecz oświata.

Ale i w produkcji właściwie naukowej, od czasu pojawienia się pozytywizmu, niemały widzimy postęp. Historjografja stanęła już u nas na gruncie ściśle naukowym i na nim stojąc, osiągnęła istotną samodzielność i oryginalność. Językoznawstwo i ludoznawstwo zyskały podstawy naukowe. W naukach matematycznych wre ożywiona praca detaliczna. Największy zaś postęp widzimy w naukach przyrodniczych, w których odkrycia Wróblewskiego i Marcelego Nenckiego oraz Władysława Natansona „Wstęp do fizyki tooretycznej“, są już pracami istotnie twórczemi i naukę naprzód posuwającemi.

U progu nowego stulecia stajemy z dorobkiem naukowym szczupłym, ale nie z próżnemi rękami. Czy dzieła takie, jak Jędrzeja Śniadeckiego „Teorja jestestw organicznych“ i Władysława Natansona „Wstęp do fizyki teoretycznej“ są w naszem życiu umysłowem epizodami, czy strażami przedniej przyszłej twórczej nauki polskiej— to przyszłość okaże.

(Kurjer Warszawski.)

PIERWSZE KROKI.

opowiadanie

K. Smreczyńskiej.

Już byłam zamężna, kiedy usłyszałam o jednym księdzu, do którego ludzie zewsząd chodzili, — nietylko z całego Podhala, ale nawet i od Tarnowa, bo daleko słynął pomiędzy prostym ludem. A ci, którzy tam już u niego byli, wiele o nim opowiadali, jak on to naucza, jak rozumu uczy, jak po całych nocach nie śpi, ale pracuje, aby ten ciemny lud jako oświecić.

Te nowiny bardzo mnie zaciekawiły, ale cóż, kiedy nic wyraźniejszego nie mogłam się o nim dowiedzieć, bo od nas, z bliższa, nikt tam jeszcze nie był. Tak nie ciekawi byli nascy ludzie. A noc dokoła była wielka, daleko w okolicę nie słychać było o żadnej szkole. Mnie mama w domu sylabizować uczyła, a gdym zdołała litery ozeznawać, pożyczyła mi wielkiej książki, co tam gdzieś po księdzu mieli: „Stary i nowy testament“ w przedpotopowem wydaniu. Przeczytałam ją dwa razy, bom książek inszych nie miała, nawet i katechizmu nie było. Można sobie wyobrazić, jaką korzyść mogło odnieść dziesięcioletnie dziewczę z czytania „wielkiej biblji“.

Później czytałam z wielką upartością, jakie tylko mogłam dostać książki, ale naonczas nie tak łatwo było o nie, jak dzisiaj. A kiedy miałam około czternastu lat, czułam się bardzo niezadowoloną ze siebie i ze świata. Gniewałam się na wszystko, co mnie otaczało, jakgdyby wszystko winowate było, że nic nie umiem. Czułam wielki ugór w duszy, daleki, pusty i przestronny. Tak mi się zdawało, że niczem inszem nie można go zapełnić, tylko nauką i nauką; a tu już pod tym względem wszystkie nadzieje prawie że stracone... Od sześciu lat musiałam paść bydło — w lecie, a w zimie prząść len. Często prosiłam mamy, żeby mi pozwoliła chodzić na kazania i nauki kościelne; tak chciałam się przynajmniej tem zaspokoić. Słuchałam pilnie, wszystko pamiętałam i to mnie religijnie usposabiało. Ale pragnienia duszy mojej nie zaspokoiło. I nieraz czułam wielki żal do księży, że oni przecie są uczeni, czemu nam też co więc nie opowiadają? Ale może myślą, żebyśmy nie zrozumieli? — takem ich sama uniewinniała.

Nadszedł czas, iż mama pozwoliła mi pasać woły w lesie, tam — na polanach... Wtenczas mogłam myśleć dużo: to też myśli latały, dokąd ino okiem dojrzećć mogłam i jeszcze dalej... Podziwiałam wszechmocność boską w tych cudnych utworach, które mnie otaczały, a najwięcej zachwycały mnie wspaniały wschód i zachód słońca, na które często patrzyłam. Zapominałam wtedy o ziemi, o całej nędzy ludzkiej i o swojej i z wielkiem uniesieniem śpiewałam psalm:

„Gdzie wschodzi słońce i kędy zapada,
Niechaj świat Boską chwałę opowiada“...

I tak czas prędko leciał. Powiedzieli mi, że mam rok siedemnasty i kazali iść za mąż. Tak się też stało. Ale, pomimo odmiany życia i nowych obowiązków, tęsknota za nauką nie opuściła mnie; to też robiłam postanowienia: Jak mnie Pan Bóg obdarzy dziećmi, to ja będę do szkoły posyłać, choćby nie wiem, jakie przeszkody stanęły na drodze... A tymczasem zgromadzałam koło siebie sąsiednie dzieci, które ino chciały przychodzić i uczyłam przynajmniej tego co sama umiałam. Na szczęście trafiłam na dobrego męża, który mi chętnie pozwalał w czasach wolniejszych od pracy polecieć do Krakowa. Tam podziwiałam starodawne kościoły, pamiątki, wszędzie chciałam się wścibić, chciałam obaczyć skarbce, muzea, grobowce i co się dało. Z podziwem szczerym przyglądałam się zabytkom staropolskim i coraz większa paliła mnie ciekawość, jaka to ta Polska dawniej była, czemu teraz nie taka bogata? Ale cóż, kiedy tego nikt mi nie wytłómaczył, ani książek takich nie miałam.

Tak upłynęło lat parę.

Dopiero wtenczas dowiedziałam się o tym księdzu, co, jak powiadali, nauczał ludzi, i nie tylko swoich, ale i z dalszych, dalekich stron. To mnie bardzo zaciekawiło. Postanowiłam dowiedzieć się, gdzie ten ksiądz mieszka. Ale jakem wspomniała, nikt tam od nas nie był, to też nie łatwo było się dowiedzieć. Poszłam do mojej mamy, bo jeszcze wtenczas żyła, w tej myśli, że się coś dowiem, może przecie od kogo słyszała. I nie zawiedłam się. Powiedziała mi mama że ten ksiądz mieszka po za Jordanowem, w Sidzinie, pod samą Babią Górą. Mówiła dalej, że gdy przed rokiem była w Bochni, spotkała po drodze gromadkę ludzi i pytała się ich, dokąd idą, a oni odpowiedzieli, że idą do Sidziny, do tego księdza, co to lud biedny naucza... I zapytała mnie odrazu:

— Na co ty, Kasiu, tak ciekawie dowiadujesz się o tego księdza?

— Moja mamusia — odrzekłam, całując ją w rękę — bo ja tam muszę iść koniecznie, ja go muszę znaleść, ja się muszę dowiedzieć, czego on naucza...

— Moja Kasiu, moje dziecko, na co ci tego, żebyś ty aż tak daleko chodziła po naukę? Kiedy my tu przy swoim kościele księży mamy i oni uczą, a wszyscy księża jednako uczeni, bo do jednakich szkół chodzą. A przecie ty nie jesteś tak doznaku głupia, żebyś nic nie umiała; boś przecie czytywała książki rozmaite. Twoje towarzyszki i czytać nie umieją, a przecie żyją spokojnie...

— O niema się czem chwalić, bo i to, co umiem, ucieka z głowy i już ledwo świeci, jak świętojański robaczek, wnet zgaśnie...

I tak po długiej z mamą gwarze, gdym już ostatnio powiedziała, że ja muszę tego księdza koniecznie znaleść - mama stanowczo zaprzeczyła i oświadczyła mi, że obowiązek mój w domu siedzieć i nie łazić za niczem po świecie... a jeżeli jej nie posłucham, żebym się jej dzieckiem nie liczyła.

Okropnie mnie serce zabolało, jakem to usłyszała, bom mamę kochała bardzo. I zrozumiałam zaraz, o co tu chodziło. Mama się obawiała, żebym po tym pozorem od męża nie uciekła, bo dobrze wiedziała, że mnie wydała z domu poniewolnie: i słusznie mogła myślić, że mnie tam nic nie wiąże. Nie uczuła zaś onych powodów, które mię parły. Nie odczuła tej palącej tęsknicy, jaka człowieka, otoczonego ciemnościami, do światła ciągnie. Wiedząc, żeby mię nie zrozumiała odrazu, postanowiłam więc o tem mamie nie wspominać. Jak mi ino mąż pozwoli — myślałam — to już nie bardzo będę dbać o pozwolenie jednej i drugiej mamy, bo jeszcze i mężowa matka podówczas żyła.

Poprosiłam, by mi nie bronił iść na jeden dzień — a było to w lipcu, dzień duży — i on po chwili przystał. Dobrocią swoją wielką i pobłażliwością najwięcej mię ku sobie przywiązywał.

Zebrałam się i poszła. Poszłam w niedzielę, najpierw do swojego kościoła, na ranne nabożeństwo, a potem przez Olszówkę do Rabki. Jakem zaszła do Rabki — jest tam nie wysoka góra nad Słonką — usiadłam na miejscu, z którego mogłam widzieć daleko. I zaczęły myśli płynąć, jak chmura ptactwa... Przypomniałam te czasy, jakem pasła woły w lesie na polanach, kiedy to myśli unosiły mnie w nieznane światy, i jak mi było wtenczas dobrze, a teraz już nie tak... o nie tak! Już te myśli przygnębione, nie takie lotne, jak bywały... I zaczęłam rozmyślać nad wszystkiem, a potem nad tem, gdzie ja idę, dokąd i po co... Przybaczyły mi się słowa mamy, nawet i męża, który mi radził po swojemu: „Lepiejbyś w domu posiedziała, nie chodziła nigdzie“... Teraz nastała duża walka w osłabłej duszy. Zdawało mi się, że mam dwa duchy. Jeden mówił: „Idź!“, a drugi: „Nie chodź“...

Ten drugi odradzał; „Za czem ty będziesz chodziła, kiedy w swojej parafji są księża i nauczają, może tak samo, jak i tamten. Tyle niewiast żyje se spokojnie, chwalą w domu Pana Boga i za niczem nie łażą“...

A pierwszy znów z przekorą: „Nieprawda! Idź, na nic nie uważaj, bo ta ciekawość nie jest złem“...

I znalazłam się w trudnem położeniu: Których myśli się trzymać? I zaczęłam się nad tem zastanawiać: Czyby to już ten człowiek na wsi przeznaczony był tak, jak nieprzymierzając ten kret, zawsze w ziemi grzebać i o niczem więcej nie myśleć, jak ino o żywności na jutro i na potem? Czy mu już taka niewola i wieczne konanie?... I długo się nad tem zastanawiając przyszłam do przekonania, że przecie ten człorolny tak samo stworzony na obraz i podobieństwo Boże, a zatem ma rzetelne prawo do wszystkich darów i łask bożych.

I postanowiłam — co bądź, to bądź — iść!...

(Dok. nast.)

Z Syberji i Kamczatki

przez dra Benedykta Dybowskiego.

Zakończywszy na teraz wspomnienia biograficzne, dotyczące rodaków naszych, czasowo i niewłasnowolnie przebywających w Irkucku po roku 1864., przejdę do opisu okolic wschodniej Syberji, z tej doby jej niedawnej przeszłości, gdy świat lokomotywy, nie budził jeszcze mieszkańców tamtejszych, do czynnego i gorączkowego życia zachodu, przyczem wszędzie tam, gdzie zajdzie potrzeba, starać się będę podać sylwetki bjograficzne rodaków naszych, czynnych pod ową porę; bez nich, bez ich wspomnienia, tracą dla nas najpiękniejsze okolice połowę swojej wartości.

Wielka kolej syberyjska, musiała już i teraz, a tem bardziej musi w przyszłości zmienić, nie tylko tryb życia sybiraków, ale i sam wygląd miejscowości, przez które ona przebiega; nadać ona też musi i całej polityce rządu, intensywność, odmienną od tej, jaką miała uprzednio. To kolosalne przedsięwzięcie, tak nagle i raptownie wykonane, będzie miało w przyszłości nieobliczalne nawet dotąd skutki, o nich tu wszakże mowy być nie może, o jednej tylko okoliczności wspomnę mimochodem, z tej racji, iż za czasów naszej bytności na Syberji głośno o niej mówiono, bo uważano w owej dobie sprawę budowy kolei przez Syberję za ściśle z nią związaną, mianowicie widziano wtedy konieczność zmiany postępowania rządu na zachodnich granicach państwa i sądzono, że nie pierwiej budowa ta nastąpić może, aż się ureguluja stosunki, aż się pozyska serce poddanych zachodu sprawiedliwością, szczerością i łagodnością, oczekiwano też w tym kierunku zmian daleko idących; powiadano np., że chcąc mieć wolne ręce od strony zachodniej, dla możebnej, skutecznej i wszechpotężnej działalności na wschodzie, trzeba zgoić rany, zadane ręką barbarzyńską Murawiewych, trzeba uwłasnowolnić narody ujarzmione, trzeba zerwać z tradycją dotychczasową „abrusienja“ i „aprawosławlenja“, bo, bez takiej zmiany koniecznej, próżne staną się wysiłki i prędzej, lub później w proch się obróci to wszystko, co tyle kosztów i zachodów pociągnęło za sobą.

Myśli ówczesnych patrjotów syberyjskich streszczały się w wyrazach patrjoty rosyjskiego, czy też raczej słowiańskiego, które tu dosłownie przytaczam:

„Il faut“, powiada Marco, „rendre une constitution et une autonomie à ceux, qui en userent avart“

„Reparer la faute de 1870, en battant les Allemands et en leur reprenant toutes les terres slaves“..,

„Cesser de propager la „prawosławje“ et „l'abroussienje“, car primo: malgré toute l'oppression cela n'aboutira jamais à rien, et secundo cela a été, cela est et cela sera une preuve de bêtise et d'inconséquence barbare“.

Accorder la liberté d'enseignement et de tolerance religieuse“.

Tylko nie trzeba być szowinistą krótkowidzącym, ażeby każdy mógł przyznać zupełną słuszność tym myślom i tym nadziejom, które ożywiały podówczas umysły i serca patrjotów prawdziwych, marzących o wielkości zadań, jakie ma Rosja spełnić na wschodzie.

Oczekiwania i nadzieje zawiodły, rady dobre, szczere i życzliwe pominięte zostały, w tem przekonaniu, że żołądek rosyjski wszystko strawić zdoła, co tylko przeszło przez usta, ale i wilczy żołądek ma swoje granice strawności; trzeba się z tem liczyć i zawczasu pomyśleć o środkach zaradczych, jeżeli się ma oczy zdolne objąć dalsze horyzonty, niż ten, który zakreślony bywa chwilową „nażywą“, czyli jednorazową grabieżą.

Przeszłość i jej liberalne odbłyski minęły, zdmuchnięte szowinizmem, grubą, barbarzyńską nietoleracją i wiarą w siłę łańcuchów i skuteczność mocy przekupstwa. Kolej stanęła po części, a na zachodzie nie tylko, że nie nastąpiła zmiana na lepsze, lecz przeciwnie, miara złego się powiększyła; dążymy ku przepaści, którą niebacznie i nieoględnie kopią ci właśnie, co do jej zasypywania byli i są powołani. Trudna rada! Quem vult perdere, Jupiter, dementat.

Ażeby dać możność ocenienia rozmiaru olbrzymiego przedsięwzięcia, mającego się dokonać przy budowie wielkiej kolei syberyjskiej, związanej nie tylko materjalnie, lecz i moralnie z naszymi losami, przytoczę tutaj kilka następujących szczegółów.

Ogólna długość kolei, od Czelabińska na Uralu, do Władywostoka na wybrzeżu morza Mandżurskiego, wynosi 7,103 wiorst. Tę przestrzeń kolei podzielono na 7 części. Pierwsza, od Czelabińska do rzeki Obi, mierzy 1.328 wiorst, nazywają ją *„zachodnio-syberyjską“*. Druga,

zwana *środkowo-syberyjską*, sięga od Obi do miasta Irkucka, jej dlugość wynosi 1.754 wiorsty. Trzecia, tak zwana kolej *obwodowa*, albo *„krugobajkalska“*, przebiega od Irkucka do stacji Myssowej, okalając południowy koniec Bajkału; jej długość wynosi 292 wiorsty. Czwartą część kolei nazwano *„Zabajkalską“*, sięga ona od stacji Myssowej, do „miasta“ Stretieńska na rzece Szyłce, długość tej koleji wynosi 1.000 wiorst. Piąta część koleji, nosi nazwę *„koleji Amurskiej“*, mierzy 2000 wiorst i dobiega do miasta „Chabarowska“, położonego u ujścia rzeki Ussuri do Amuru. Od Chabarowska rozpoczyna się tak zwana kolej *„północno - ussuryjska“*, szósta czóść koleji dobiega do stacji „Grafskiej“ u ujścia rzeki „Sungaczy“ do rzeki Ussuri, długość tej koleji wynosi 347 wiorst. Nakoniec siódma część koleji kończy się we Władywostoku, stolicy kraju; długość jej mjerzy 382 wiorst, ją zaś samą nazywają *„południowo-ussuryjską“*.

Wykończone dotąd zostały, i to prowizorycznie, działy następujace: Zachodnio i środkowo-syberyjskie, Zabajkalski, Północno i południowo-ussuryjski. Na dwa ostatnie działy, mianowicie na Bajkalsko-obwodową i Amurską czekać będziemy jeszcze długo.

Koszta pretiminowane na budowę koleji są olbrzymie i tak: kolej Zachodnio-syberyjska kosztować miała 47. 361. 479 r. s.

kolej środkowo syberyjska	73. 272. 898 r. s.
kolej „Krugobajkalska“	23. 077. 239 r. s.
kolej Zabajkalska	53. 309. 817 r. s.
kolej Amurska	117. 655. 835 r. s.
kolej Północno-ussuryjska	17. 872. 163 r. s.
kolej Południowo-ussuryjska	17. 661. 051 r. s.
Razem	350. 210. 482 r. s.

Takim był preliminarz na budowę koleji. Mówią jednak, że trzeba podwoić tę sumę, ażeby się zbliżyć do wydatków prawdziwych, jakie ponieść musiano dotąd, a następnie potroić ją wypadnie w przyszłości, jeżeli kolej ta ma odpowiadać wymaganiom koniecznym.

(C. d. n.)

Z pism i książek.

(Sienkiewicz o sobie.—„Chimera“, czasopismo poświęcone literaturze i sztuce.)

Z pokłosia jubileuszowego podać jeszcze należy jeden z głosów, najważniejszy może, bo samego jubilata i o samym sobie.

„W rodzie moim przeważały wojskowe tradycje — mówił kiedyś Sienkiewicz w swobodnej rozmowie towarzyskiej; — po mieczu mam przodków żołnierzy przeważnie; dziadek mój Józef Sienkiewicz, podpułkownik byłych wojsk polskich, walczył pod Napoleonem. Od dzieciństwa wzrastałem w tych tradycjach; starszy mój brat odziedziczył żyłkę wojskową, przed laty wyemigrował do Francji i w szeregach Garibaldego zginął podczas wojny francusko-pruskiej. Skłonność do pióra i literatury mam chyba po kądzieli. Pradziad mój z linji macierzyńskiej, który przez lat 56 nosił biskupią infułę, brat rodzony Adama Cieciszewskiego, pisarza koronnego, a stryj matki Brunona Kicińskiego, pisał i drukował wiele. Moja matka Stefanja Cieciszewska z domu, bawiła się piórem i pisaniem wierszy, a spokrewnioną była z Lelewelami i Łuszczewskimi; ztąd moje kuzynowstwo z Deotymą. Ojciec mój wszelako, Józef Sienkiewicz, był ziemianinem; posiadał majętność swoją Grodki w Radomskiem, później gospodarował w Wężyczynie, w okolicach Stanisławowa, a pod koniec, około 1863 roku; sprzedał wieś i przeniósł się do Warszawy. Ja zaś urodziłem się w domu babki mojej, w Woli Okrzejskiej, w powiecie łukowskim i lata dziecięce spędziłem na wsi; jeździłem długo jeszcze na wieś, już po wstąpieniu do realnego gimnazjum w Warszawie, na każde wakacje i dla tego tak dobrze poznałem lud i język ludowy. Pierwsze moje wrażenia wsi i przyrody przywiązały mnie też do ziemi i do ludu, a zamiłowanie do literatury rozwinęły we mnie stare księgi, których pełny kufer znalazłem u babki na strychu i dzięki im jako dzieciak jeszcze, zapoznałem się najpierw z pisarzami złotego wieku: Rejem, Kochanowskim, Górnickim, Skargą, Birkowskim, Orzechowskim i innymi, To byli pierwsi moi nauczyciele polskiego języka!... W gimnazjum Wielopolskiego dorwałem się potem Homera i Szekspira, i w tych dwóch rozmiłowałem się tak, że do dzisiejszego dnia uznaję ich za moich najulubieńszych autorów.

Na progu nowego stulecia pojawił się zwiastun nowego bodźca w dziedzinie literackiej i artystycznej twórczości, w formie prospektu nowego pisma literackiego „Chimera“ mającego od 24 bm. wychodzić w Warszawie pod redakcją p. Zenona Przesmyckiego. Jak widać z tekstu tego, na wojowniczy ton nastrojonego, prospektu, będzie to pismo, hołdujące zasadzie „sztuka dla sztuki“ całkiem bez zastrzeżeń. Nie określając wprawdzie drogi, prócz tego że zrywa ze wszystkiem co tylko trąci poziomością, zapowiada prospekt, że “Chimera“ będzie popierać wyłącznie dzieła geniuszu i pomagać mu do wydobycia się z osłaniających go, wrogich mu mroków. Redakcji prospektu możnaby wiele zarzucić. Niepotrzeba tam było tyle wymachiwania słowami, i odgrażania się czeredzie głupców, którzy skoro są tacy znikomi, to nie zasługują, żeby aż wyszukiwać specjalne przenośnie dla ich określenia. Niepotrzeba było górnolotnych słów na powiedzenie rzeczy, albo nie odpowiedzialnych, albo rozumiejących się same przez się w prospekcie literackiego pisma. Ufać należy, że to tylko rozmach do skoku wywołał te wybujałości, poza którymi kryć się może, a nawet kryje się prawdopodobnie, wola jak najlepsza, Niech tylko skok dopisze zarówno pod względem wysokości jak dali, a ci którzy chcą w swe przedsięwzięcie włożyć szczerze zapas swojej energji i pracy, przysłużą się sztuce, choćby przepastka, czy też rowek, przez które zamierzają ją przenieść, były pozornie nawet bardzo płytkie.

Z orukarni W. A. Szyjkowskiego, Lwów ul. Kopernika 5.